NIWA POMORSKA

Dodatek literacki i oświatowy
do „Dziennika Pomorskiego"

Nr. 16. | CHOJNICE, dnia 24-go października 1926 r. | Rok 1.

F. Sędzicki.

Pieśni pomorskie.

Do mojej krainy.

Pieśni dawne.

Ciemne chmury mkną po niebie,
ołowiany tworząc mur,
głos nie dojdzie nasz do Boga —
nie przeniknie ciężkich chmur.

Gasną już wieczorne zorze,
na świat się opuszcza mrok;
świszczy, huczy wiatr po borze
budząc widma strasznych trwóg.

Gwiazda się ni jedna zatli! — —
Lecz ten wiatr też oczyści tło
nieba z chmur... i wnet rozjaśni
miljon gwiazd niekrytych mgłą

!.. zaświta jutrzenia ranna
pierzchnie straszna nocy cień
i różowy zajaśnieje
nam znów nowy... jasny... dzień.

— — — — —

— — — — — —

Zamilkną może wnet boje oręźne,
miecz, stal, armaty to już broń przeszłości:
Praca kulturna, wysiłki potężne
dla dobra ludów — to oręż ludzkości.

Choć ten i owy krwawą miga stalą —
sztuka, ni triumf to zabić człowieka —
koleje świata zwyczaj ten obalą...
zerwą z okresem, który krwią ocieka

Nam dziś orężem szerzenie oświaty,
praca na polu, w warsztacie lub hucie,
krzepienie ducha, światłość naszej chaty
i narodowej godności poczucie.

I do tej walki stańmy razem wszyscy —
młodzi i starzy — a wróg nas nie zmoże.
Nie szczędźmy trudu czy wielcy czy niscy
a będziem żniwa mieć obfite w zbiorze.

— — — — — —

— — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bolesław Knitter.

Kaplica św. Józefa i jej fundatorzy Szlachetni Pawłowscy w Mokrem.

W powiecie chojnickim, w odległości jakich 9 kilometrów od Czerska, nad szosą stamtąd do Leśna, leży wieś, stara miejscowość, pamiętająca czasy krzyżackie, Mokre. Był to niegdyś rozległy majątek szlachecki, w 18 wieku noszący nawet nazwę „klucz mokierski", który jednak w 19. wieku uległ rozparcelowaniu. Jeszcze dziś przechodzień zauważy resztki zabudowań folwarcznych i parku. Jedynie kapliczka utrzymała się nietknięta i całkowita z dawniejszych czasów. Stoi ona, jak świadek minionej przeszłości obok szosy, samotna, za małym stawkiem, niegdyś parkowym.

— Kaplica ta istnieje od roku 1761. Właścicielom Mokrego, wówczas jeszcze majątku szlacheckiego, był możny dziedzic i pan, szlachcic Mikołaj de Kossobud-Pawłowski, chorąży pomorski i sędzia ziemski człuchowski. Należały wówczas do klucza mokierskiego dobra Cisiewie z Bąkem, Miedzno, Odry, Juńcza Radoszka i Malachyń. Początkowo Pawłowski posiadał tylko debra Odry, które w roku 1739 już były w jego posiadaniu. W Odrach wówczas także była kaplica pod wezwaniem Znalezienia i Podwyższenia św. Krzyża, lecz zaniedbana i w dość nędznym stanie. To też Mikołaj zabrał się zaraz do odnowienia tej świątyni. Pobudował nową kaplicę, krytą dachówką. — Kilka lat później dokupił on powyżej wymienione dobra, a siedzibę swą przeniósł do Mokrego I tam w tej odległej od kościoła parafjalnego w Czersku miejscowości postanowił dla większej chwały Bożej i wygody duchownej wraz z małżonką swą, pobożną Anną, z domu Pruszaków, wznieść dworską kaplicę. W roku 1761 świątynia była gotowa i została poświęcona czci św. Józefa. Za ówczesnego biskupa Ostrowskiego udzielił Ojciec św., Klemens XIII. indultu do odprawienia mszy św. Nie wiemy, jak długo Mikołaj żył i jak długo zażywał tego szczęścia, słuchać nabożeństwa w jego własnej kapliczce. Gdy umarł, odziedziczył wszystkie jego dobra syn jego Michał P. Był on także chorążym pomorskim. Małżonką jego była Józefina, z rodu Łukowiczów. Staraniem tego małżeństwa było założyć przy swej kapliczce bractwo św. Józefa. Biskup wysłuchał ich prośb i pobożni małżonkowie mogli swe życzenie w czyn wprowadzić. Założyli bractwo św. Józefa 14 września 1788. Statut tego bractwa na nowo potwierdził biskup chełmiński Anastazy Sedlag, 25 lutego 1852 roku. —

Nie mamy więcej wiadomości o tej świątyni. Pozostaje mi więc do zaznaczenia druga rzecz, mieszkańcom Mokrego może wcale nieznana, a jednak chwalebna nie tylko dla nich, ale i dla całej okolicy. O tem chcę teraz czytelnikom donieść.

Widocznie Bóg błogosławił pobożnym rodzicom bo dał im syna, którego w świętych swoich zamiarach przeznaczył dla służby swojej, aby jako arcypasterz pracował nad zbawieniem dusz. Tym synem był Franciszek Pawłowski, późniejszy biskup płocki. —

Ks. Franciszek de Kossobod Pawłowski Biskup Płocki.

Mały Franciszek urodził się w Mokrem, 29 marca 1774 r. Pobożni rodzice oddali go do szkół do Chojnic, a ukończył je w Gdańsku. Dalsze studja odbył na uniwersytecie w Królewcu, gdzie słuchał prawa, poczem pracował jako referendarjusz przy sądzie w Kwidzynie. Lecz niedługo pracował na tem stanowisku. W życiu jego duchownem nastąpiła nagle zmiana, bo postanowił obrać stan duchowny. Według tradycji zwrot w życiu Franciszka miał nastąpić nagle. Pewnego dnia bowiem, gdy był na przechadzce ze swoim towarzyszem, zaskoczyła ich nagle burza i grom zabił towarzysza. Przerażony tem nieszczęściem Franciszek postanowił odrazu obrać służbę Bożą.

— Wstąpił więc do seminarjum włocławskiego i tam odebrał święcenia kapłańskie (w r. 1800).

Pierwszy jego posterunek działalności duszpasterskiej był w Tucznie, w dziekancie inowrocławskim, a w tym samym jeszcze roku objął probostwo lubieńsko bzowskie. Liczył wtedy lat 26.

Dwa lata później, w r. 1802, objął probostwo Tczew. Dzięki zdolnościom i gorliwości awansuje on odtąd szybko naprzód. W r. 1804 nasz Pawłowski podpisuje się już: Kanonik kujawski, proboszcz tczewski i lubiszewski., a w r. 1806 obejmuje powierzony mu urząd oficjała pomorskiego i gdańskiego. W r. 1806 uzyskał stopień doktora teologji w obojga spraw. Osiem lat później, w r. 1814 został powołany do Włocławka i musiał opuścić nasze Pomorze. Odtąd Pawłowski działał przeważnie we Wielkopolsce. W r. 1826, gdy jeszcze przebywał w Włocławku. jako dziekan katedralny, wybrano właśnie jego ze strony duchowieństwa polskiego jako obrońcę małżeństwo przy sądzie najwyżej instancji przeciw nowej ustawie o rozwodach, za co w następnym roku arcybiskup warszawski, Skarszewski powierzył mu swoją sufraganję, wyświeciwszy go na biskupa. Pawłowski liczył wtedy lat 53 „Przegląd Poznański“ (Roczn. 1852. XIV. 409) takie podaje dalsze szczegóły z życia biskupa: W roku 1827 ks. biskup płocki Prażmowski wybrał sobie ks., Pawłowskiego na koadjutora z prawem następstwa... Jako biskup — koadjutor zawiadował dyecezją płocką do r. 1836, kiedy ks. Prażmowski umarł. Zaraz potem przeniósł się do Płocka (dotychczas bowiem przeważnie w Warszawie przebywał) i objął rządy biskupskie. W r. 1842 bawił trzy miesiące w Petersburgu z ks. biskupem Goldtmanem. W r. 1843 złamał nogę. Przyszedłszy do zdrowia zamieszkał w Pułtusku, drugiej rezydencji biskupiej. W r. 1850, w dzień Zielonych Świątek, w kościele słopskim u Bernadynów, gdzie jest cudowny obraz, odprawił ks. Pawłowski drugie prymicje, po przebyciu 50 lat w stanie kapłaństwa“.

Pawłowski pracował w dyecezji płockiej aż do swej śmierci. Umarł w Warszawie 6 lipca 1852, w 78. roku życia.

Zwłoki naszego dostojnego ziomka spoczywają w Katedrze płockiej. Ktoby miał to szczęście, zwiedzić tę katedrę, znalazłby tam piękny pomnik wmurowany w kapliczce Najświętszego Sakramentu.

Właśnie ten pomnik poświęcony jest pamięci tego arcypasterza, śp. Pawłowskiego. Nagrobek ten wystawił biskup Antoni Fijałkowski, późniejszy arcybiskup warszawski.

Życzeniem i celem powyższych notatek historycznych było, by podzielić się z czytelnikami, a zwłaszcza z „Zaborakami“ dziejami naszych okolic, a temsamem utrwalić ich w gorącem przywiązaniu i miłości do swoich stron rodzinnych, do naszego kościoła i ziemi pomorskiej, polskiej.

Pieśni kaszubskie (Frantówci).

Jak ja sobie wspomnę o mojej młodości.

Jak ja sobie wspomnę o mojej młodości,
Jak ja sobie bujał będąc na wolności.

Mówił ci mi, mówił, ojciec mój kochany:
„O przestań hulanki, bo nieszczęście twoje“.

Pijanie, hulanie to nieszczęście moje;
Miał pieniądz w kieszeni, zapomniał o Bogu.

Mówiłać mi matka: „Synu dziecię moje,
O przestań bujarzyć, bo nieszczęście twoje.

Nie słuchał ja ojca, matki, siostry, brata,
Siedzę we więzieniu, strudził*) młode lata.

Siedzę we więzieniu, okienkiem wyglądam,
Żona na wolności, jeszcze ją tu żądam.

„Oj żono, ty żono serca kamiennego,
Masz męża w więzieniu, nie zajrzysz do niego.

I przyszła do sądu, stanęła za drzwiami,
Spojrzała na męża, zalała się łzami.

„Oj mężu, ty mężu, masz obcięte włosy,
Siedzisz we więzieniu, w polu giną kłosy“.

A kiedy mnie Pan Bóg z tej więźni wspomoże,
Będę dobrze czynił w polu i oborze.

Będę dobrze czynił, będę się sprawował,
Będę ojca kochał a Boga miłował.

Będę w lesie przebywał i wrogów zabijał,
Wsie i miasta palił, budynki rozwalał.

Kalino, kalino liścia szerokiego,
Nie śmiejcie się ludzie z nieszczęścia mojego.

*) Znaczy: zmarnował.

(Rotębark) Podał Fr. Sędzicki.

Teksty kaszubskie.

Straszci i przegrzeche szprechów nie znają.

(Ciąg dalszy.)

Zel jeszcze tede Domol Dybała i załecoł sę do Marynci Zdrujkowi, co beła barzo ładno i pyszo dzewuszka.

Tak kąsk ona sę widziała i Lorkowi, ale o nią tak barco nie dboł, bo mioł inna na pustkowiu polescim.

Ale cie on widzoł, że Dybała sę do nyj Maryszci zaleco, te' on też zaczął sę przedrzezniać i do Zdrujka zachodzec, i tam ze starym Bambenciem, co tam co wieczór przechodzeł, mądrowac i bojci prawic.

A ciede sę nadarzeło, te' też i do Maryszci sę załecoł i zanuceł jij frantówkę:

Idze chłopiec pomiedzy
dzewczę sobie prowadzy.
Ty Maryszko, ty moja
ty masz oczki jako ja
wraz.

Gorzeło to straszni Domola, co bel barzo niewo mowny, osobliwie prze Maryszce, jak to zresztą u za kochanych bywo. Rodbe sę też beł pozbeł Lorka. Ale jak?

Jednygo razu, cie oboje beli razem w Koscerznie w karczmnie, a prze nich jesz Teodór Boska z Wie rzeska, co sę też zalecoł do Marynci, wedoł Dybała kwaterkę gorzołci i powiedo do nich.

— Wieta wa co? Mnie sę uspodobała Marynka Zdrujkowa i jo ję chcę miec. Jo wiem, że wa też sę do nij mota, ale mnie ona sę nowięcyj widzy i wa sobie prędzyj inną weszukota, bo jesta więcyj wszczekani niż jo. Te jo wama dąm jeszcze porę kwaterków gorzełci, a wa sę mnie więcyj nie przedrzeznieita.

Lorek wepił cieliszek gorzałci, ale zaro sobie pomesloł, jacigo tobe figla sprawic Dybale. odjostac. Czekej jeno, me sę z Teodorem namesllme. To pocagnał Teodora na stronę i zaczął z nim radzec, jacigo to figla weprawić Domolowi.

— Oho — odpowiedzoł, to le tak letko nie je nas.

Po chwili znowu przestąpił do Dybale i prawi:

— Te jes barzo mądry, Domolu! Me to wszesce wieme (po prowdze bele prawie na opak, Dybała uchodzeł za dobrygo, ale krzcenę aż za stateczygo człowieka) i tebes chcoł sę nas w leti sposób pozbec.

Ale tak jo, jak też Boska je w Marynce zakochany i żoden z nas ustąpić ni może ani nie chce.

Me wszesce jednak jij dostac nimożemy i dwoje ustąpić muszy.

Te zróbme tak, żebe ten, co ją dostanie, czego osobliwygo dokozoł.

— Niech ją weznie ten, co je z nas nojodwożniej szy — wtrącał tede Boska, co ju beł bez Lorka pouczony, jak mo mówic.

Dybała sę tego warzeł, bo taci barzo odwożny nie beł. Ale czegożbe sę nie podjął zakochany w dzewczynie chłopiec. A na innyj spesób ty dwoje zgodzec sę na odstąpieni od Maryszcy n'e chceli.

— Ale jakże to sę okoże, chto z nas je nojodwożniejszy? — zapytał sę Domol.

— Hm, wieta co, — odrzekł po krótcim zamesz leniu Lorek —, co czornemu psu prze zgnitym moscie w poprzęk stanie i go odpędzy.

Dybała jaż zblodł, cie to uczuł.

On wiedzoł, że miedze Kęszymi Jezorkami a Okrężytym a czasem i Ocusznem przechodzeł dosc często czesto czerwony duży pies z lyńcuchem. Wiele go widywało w pewnych godzenach. To sę zdarzało tak często, że już nicht na to ani nie zwożeł ani też strachu przed nim prawie ni mnioł. Bo on nikomu nic złygo nie zrobił, le popatrzeł smutnie na każdygo przelożł bez zgnity most i w krzach zdzinął. Czasem na moscie też beło widzec juchę, co mu z peska cekła. A ciede beło cemno tak w jeseni abo w zemnie tede le widzec beło jak odzin przelecoł, co mu też czasem z peska buchoł.

Ale tacigo nie beło, co be sę odważeł psu temu, ce beł pewno jakąs duszą pokutującą, sę przed rzezniac.

Bo o tem prawie nicht ju nie pamięto i le nej starszym ludzom cos tak czasem w głowie zamekcy, że prze Kęszych Jezorkach stoł na górze zamek, co otoczony beł z jednej strony bez Kęszy Jezorka, pier wyj większy niż dzys, Wierzesko, Czorną Łąkę, i Okrężyty. W tych też kniejach tego czornego psa nieroz widzeli a Jozk to go jesz pozńij widzoł jak w Piecielku prze Płoczecach wodę chlapoł i potem długo medetował. Czasem też w lasach tych czuc beło straszny rek abo też płacz dzecka, abo tez szaszor w w chróstach i w czubkach drzew, a zemia to nieroz dudniała jakbe tysiąc husarów abo cały strzóde by ków przebiegało, choc ni kogo widzec nie beło.

O tym wiedzoł też i Boska i struchloł, cie Lorek taką próbę poradzeł.

Jednak Ryk szarpnął Boskę za troci od follszowej suksi powiada po cichu:

— Nie bój sę Dybała psu sę sprzeciwiac nie będze, a potem zawsze jeszcze będzeme mieli sposobnosc cilka kwaterów od niego utargowac, a nadto mąme z niego dosc ucsche i żartów.

Ale Dybała choc jeszcze staroł sę odwiesc obuch: od tacigo niebezpiecznygo przedsęwzęcu i różnych pró bował wykrętów, naresze udowoł jakbe przestoł na ten układ.

(Dokończenie nastąpi).

F. Sędzicki.

Nasza jeseń.

Minął już pozemek, i minęło lato,
słuńce sę zmęczeło i spi dłużyj zato.

Codzeń póżniej wschodzy a wczesnej umyko,
a ledwo zaswiecy, za chmurami zniko.

Zaglusbł spiew ptaszęcy, bo go sploszec nie chce
zamiast kwiatów zelisk chiąde stoją — wiechce.

Uciekają ludze zastraszeni z pola
i zbierją chutko, co im dała rola.

Patrzy na to z żalem opuszczone niwa,
le ją człowiek cieszy, że będą jesz.. żniwa.

I jak na zadatek do niej ziarno wsewo,
choc sę wząg chłodniejszy le wiater wsmiewo.

Z bagnisk smugów, kniei gesty mgłe wełażą,
mróżnym dechem strasząc, liste zielskia warzą.

Letne ptoche z krzyciem w cieply cągną kraje,
a inny sę chowią z zwierzem w gęsty gaje.

Wełękniony patrzą brzozci, wierzbe, dębe
i nadzi gałązci ju trzęsą i zrębe.

I jakby przewabic jesz chcałe człowieka,
każdy w ruchna — liste barwny sę obleka.

— — — — — — —

Jeseń nasza, jeseń — staruszka sędzewo,
ale — jak kobieta — różny neci miewo.

Jeseń nasza, jeseń — to webredno pani
w peszny lubi stroić sę ruchna — a tani.

Jakbe to pokozac chcała, co mo ona,
w stroj sę barwny stroi — przed zgonem —
matrona.

I niejedna dama, patrząc na nię, rzędzy:
Jak sę ona stroic umnie bez... pieniędzy!

Jeseń, nasza jeseń nie tak barzo srogo,
le ją często zema dosc tęgo wspomogo.

Ale kto pamniętoł o nij już zawczasu,
ten sę jij nie boi, nimo ambarasu.

Nawali w piec kluftów i cie gosc się zjawi,
wspólnie z nim so bojci z lepszych czasów prawi.

A ole' wspowiedzoł wszastko... sprawiedliwie,
i ju więcyj nie zno, poszuko ich — —
w „Niwie".

Ruchna — szaty, neci — kaprysy.

Wojtek Siłacz.

Bajka pomorska.

(Dokończenie.)

Wtedy zauważył, że głos pochodził z przegrody siwka. Zbliżył się siwek rzecze i dcń:

— Osiodłaj mnie, Wójtku, wsiądź na mnie i pojedź na szklanną górę, ale nie daj się tam złapać, jeżeli pragniesz własnego szczęścia.

— Jakto złapać? Ja? — zawołał Wójtek! — Bądź spokojny, już moja w tem głowa.

Osiodłał siwka i pojechał, ale koń utykał i garbił się, że aż litość wzbudzał. Zanim Wojtek przyjechał do szklannej góry, musiał mijać pewną wieś, w której dzieciaki biegły za nim a starsi wyśmiewali się zeń wołając: A temu co tak pilno na tej chromej szkapie?

Lecz Wojtek nie dał się w błąd wprowadzić i myślał sobie: Kto się śmieje ostatni, ten się najlepiej śmieje!

Gdy minął wieś i dojechał do szklannej góry, siwek uderzył się trzy razy o ziemię.

W jednej chwili Wojtek został wspaniale ubrany. Miał złoty pancerz na sobie, złoty hełm na głowie a przy boku tęgi miecz wojenny.

— Aj! zawołał, jakim ja się to stałem pysznym rycerzem. To mi się podoba! I z upodobaniem przyglądał się sklannej górze.

A siwek rzecze. — Trzymaj się teraz mocno na siodle i niech cię nic w błąd nie wprowadza, a na górze postępuj śmiało i odważnie.

— Siweczku! na to — Wojtek nie znasz jeszcze Wojtka! Bo gdybyś go znał, tobyś wiedział jak Wojtek prać umie!

Teraz siwek się podniósł i z wielkimi susami wjechał na szczyt szklannej góry, bo pędził tak, że tylko skry pryskały z pod kopyt i szkło rozbryzgiwało się dokoła. A na górze odstawił Wojtka do wielkiego pałacu, na którym do tysiąca zgromadzonych rycerzy odbywało swoje turnieje. Wielu z nich zapragnęło zmierzyć się z Wojtkiem, ale on zadawał takie ciosy, że przeciwników strwożył niebawem, i musieli uznać się za pokonanych. Gdy król chciał go pozdrowić, Wojtek skręcił nagle siwka i pojechał. Noc już zapadła, gdy stanął na dole. Mógł więc wjechać do zamku w swoim rycerskim ubraniu i nikt go nie poznał.

— Nazajutrz, gdy przyszedł do stajni, znowu go zawołano. Wojtku! Wojtku!

A wołał go koń bułany, który mu słowo w słowo powtórzył to samo, co siwek, zalecając, ażeby się nie dał złapać.

— Zapytaj siwka, czy Wojtek się da złapać? — odparł siłacz i z temi słowy wskoczył na siodło. I bułanek również jak siwek po drodze utykał tak, że cała wieś się śmiała z jeźdźcą i konia. Ale Wojtek nic sobie z tego nie robił i dojechał szczęśliwie do tego samego pałacu na szklannej górze, na którym wczoraj tryumfował.

Tym razem miał płaszcz na sobie z czerwonego złota a rysztunek jeszcze bogatszy niż wczoraj.

Oczy wszystkich rycerzy zwróciły się na Wojtka, bo w życiu tak pięknego jeźdźca nigdy nie widziano.

Teraz Wojtek wydobył miecz, machnął nim i zawołał: Dalej, panowie szlachta, kto ma ochotę do boju?

Rycerze jeden po drugim wpadali na niego a którym jednak zwarł się, ten wkrótce miał go dosyć i zarzekał, się raz na zawsze walczyć z takiej potęgą i mocą. Nagle huknęły trąby i turniej miał się zakończyć. Król chciał pozdrowić Wojtka, ale ten zawrócił bułanka i umknął. Niespostrzeżony wrócił do zamku i spał jak książę. Gdy następnego ranku zaszedł do stajni, znów nań Wojtku! Wojtku! zawołał kary.

Przeszedłszy i na tym koniu to samo, co i na dwóch poprzednich koniach. Wojtek w odzieży złocistej, pełnej drogich kamieni, a koń w rysztunku i siodle nadzwyczajnej ceny, wjechali na plac rycerski szklannej góry. Tym razem Wojtek rzucił się gwałtownie na wszystkich rycerzy. Hełmy i pancerze leciały jak drzazgi a miecze i tarcze połamały się w szczątki. Nagle gdy trąbki dały znak zakończenia turnieju, Wojtek zawrócił konia i chciał odjechać. Ale król wydał rozkaz zamknięcia bramy wchodowej do placu. Chciał bowiem pochwycić Wojtka żywym lub umarłym; Między innemi król sam stanął przed bramą z mieczem w ręku. Gdy jednak Wojtek zauważył, że jest zamknięty, cofnął nieco w tył karego i bramę przesadził. Wtedy król puścił za nim swój miecz, ażeby go przynajmniej naznaczyć; ale Wojtek miał tak twardą skórę, że koniec miecza ułamał się i utkwił w skórze.

— Teraz go dostaniemy! rzekł król.

Nazajutrz rozesłał gońców we wszystkie strony, a ci mieli zlecenie obwieścić, że ten z rycerzy, w którego nodze utkwił koniec miecza królewskiego, otrzyma rękę królewny.

Gdy rycerze dowiedzieli się o tem, niektórzy z nich ułamywali własne miecze i pakowali je sobie w ciało, ażeby w błąd króla wprowadzić. Odjeżdżali jednak ze wstydem, gdyż żaden z okazanych końców miecza nie przystanął do miecza królewskiego.

Wojtek nie spostrzegł na razie swej rany, gdyż koniec miecza oddziaływał nań tak jak na niejednego z nas drzazga z drzewa. Ale rana była tak złośliwa, że Wojtek nie mógł już chodzić i musiał wezwać lekarza. Lekarz obejrzawszy ranę, wyjął koniec miecza a spojrzawszy nań, zawołał: Ach, alež to miecz królewski, jest na nim korona monarsza! Dla czegoś nie oznajmisz o tem królowi? Czeka cię za to ręka królewny, mości rycerzu!

Ale Wojtek odparł: — Ha, jeżeli chcesz nagrodę za tę wiadomość, to daj znać królowi i powiedz mu coś znalazł.

Lekarz obwiązał ranę i pośpieszył po króla.

Gdy król to usłyszał, kazał zaprządz konia i udał się osobiście do Wojtka. Ten był w zamku i leżał na łóżku. Król poznał go odrazu i zawołał: — O najodważniejszy ze wszystkich moich rycerzy, dla czego wcześniej nie dałeś mi się poznać? Jakże się cieszę, że cię znajduję nareszcie!

— Ja myślę że mamy dosyć czasu, odparł Wojtek: powiedź mi tylko królu, kiedy ma być wesele?

— Jak tylko wrócisz do zdrowia — odparł król:

— No to zarząd śpieszne przygotowanie, bo to żądełko, które mnie ugryzło, nie zrobiło mi wielkiej krzywdy, zawołał Wojtek raźno i wyskoczył z łóżka.

Wkrótce też odbyło się huczne wesele z wielką uroczystością, a po nim nigdy nie było silniejszego męża na szklannej górze ani na tronie królewskim, jak nasz Wojtek, siłacz.

Podał F. Pallowski.

Redaktor odpowiedzialny: Paweł Kaszubowski.
Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego" w Chojnicach.